Nr. 15. We Lwowie dnia 10. kwietnia 1898. Rok 6.



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Klemens Junosza.



Nie dożywszy pięćdziesiątki, złożył strudzoną głowę do snu wiecznego pisarz, który pomimo ciężkich warunków życia i ogólnych i osobistych — nigdy się nie poddał nastrojowi pesymistycznemu, lecz zawsze ciepłym promieniem humoru rozjaśniał mroki i cieszył serca.

Lekarze orzekli, iż powodem jego choroby, a w dalszem następstwie i śmierci, było przepracowanie. I bez tego orzeczenia każdy, kto pilnie śledził rozwój działalności ś. p. Junoszy, a znał go bliżej, wiedział o nadmiarze podejmowanej przezeń roboty i musiał go uważać za najpracowitszego i najpłodniejszego z całej młodszej generacji autorów. Wiersze i djalogi do pism humorystycznych, kilka powieści naraz pisanych do łamów różnych wydawnictw perjodycznych, feljetony i kroniki, artykuliki i wzmianki, przeglądanie cudzych rękopismów i korekta wyczerpywały literalnie cały czas rozporządzalny człowieka, nie odznaczającego się wcale krzepkiem zdrowiem, lecz przeciwnie znurtowanego różnemi chorobami.

Smutna to dola dzisiejszego pracownika, piórem na utrzymanie rodziny zarabiającego! Dawniejsze wyrzekania bohaterów Kraszewskiego wydają się mdłemi jękami zepsutego dziecka wobec tragicznej sytuacji, w jakiej znajduje się ojciec rodziny, zmuszony zaspokajać jej potrzeby wytworami swojej wyobraźni, spisywanemi ręką omdlewającą. Kiedy się z obowiązku krytycznego musiało wytykać niedobory kompozycji, słabość rozwinięcia tematu, niedostateczne uwydatnienie charakterów, to równocześnie serce ludzkie ściskało się na myśl, że ten lub ów ustęp w powieści powstawał wśród płaczu chorującej dziatwy, lub wśród ponurej, przygnębiającej ciszy niepewności o jutro.

Tem żywiej też odczuwamy wytrwałość, hart woli, jaki okazywał ś. p. Klemens Junosza, żartem nieraz jowjalnym pokrywający swoje cierpienia. Nic też dziwnego, że tak dobrze, poznał i odtwarzał szare, jednostajne tło życia naszego, w którem panuje ustawiczna, pospolita, codzienna praca, w celu zapewnienia sobie jakiego takiego bytu, przerywana czasami równie pospolitemi, powszedniemi, jednostajnie wracającemi rozrywkami; w którem troski dokuczliwe, jak drobne owady, nie zadające ran wielkich odrazu, lecz pozbawiające spokoju, zmuszają do wysiłków ciągłych dla uchronienia się od ukłuć szpilkowych, od nieprzyjemnych, swędzących podrażnień, wyczerpują powoli siły i zdrowie, sprowadzają zdenerwowanie, roztrój, zniechęcenie.

Pośród tego ustawicznego mozołu najszczęśliwsi stosunkowo są, zdaniem Junoszy, ci, którzy pracują tylko fizycznie, choćby najciężej; którzy, przywykłszy od dzieciństwa do takiej roboty, zawładnęli wytrwałością i odpornością niezmożoną, bo prawie żywiołową, nieświadomą swej potęgi, działającą tak, jak siły przyrody... Gorzej bez porównania jest tym, których mózg pracuje więcej, niż ręce. Wychowanie ich nie zahartowało, lecz natomiast rozbudziło pragnienia, które zadowolnić trudno, zasiało myśli, które jak rój pszczół brzęcząc, jak osy kąsając, zmuszają wprawdzie do wysiłków, ale zarazem wykazują małą ich skuteczność lub też bezowocność całkowitą. Świadomość położenia i rozmyślanie nad niem rzadko kiedy doprowadzają ich do przedsięwzięcia środków zaradczych, daleko częściej przygnębiają i napełniają smutkiem, przedstawiając niemożliwość wyjścia z zaklętego koła. Z początku biorą się do dzieła z zapałem i gdyby mieli zwalczać najcięższe nawet przeszkody, z tą nadzieją, że zaraz jutro lub pojutrze usunąć je zdołają, to wyszliby zwycięsko z zapasów, bo męstwa i dzielności im nie brak; —atoli spostrzegłszy, że prze-

szkody, aczkolwiek nie wielkie, w niekończącym się przecie ciągną przed nimi szeregu, że je bardzo powoli, systematycznie, z cierpliwością nadzwyczajną obchodzić czy usuwać potrzeba, tracą otuchę, dręczą się, słabną, marnieją, upadają.

Znał tedy ś. p. Junosza to życie pełne łez, trudów, cierpień codziennych; nie usuwał się też bynajmniej od malowania jego szczegółów, ale nie okazał w tym kierunku zamiłowań szczególnych, ani też nie posługiwał się namiętnem wglądaniem w rany społeczne. Od pesymizmu i ponurości ratował go humor, ukazujący mu obok bolesnych i rzewnych, wesołe i komiczne rysy w charakterach ludzkich i stosunkach pomiędzy nimi. Nie poczucie bowiem tragiczności, lecz poczucie komizmu leżało na dnie talentu zmarłego pisarza. Zawikłania, w które popadają osobistości przezeń stworzone, mają w sobie pierwiastki, mogące wywołać położenia tragiczne, dusze atoli tych osób zamało posiadają głębi, za mało silnej iześrodkowanej namiętności, ażeby się na wyżynach sytuacji owych utrzymać. Nad śmiercią rozwodzić się autor nie lubił, a jeżeli ona z konieczności wynikła, to albo jako zwykły, codzienny wypadek, który utracił już własność rozrzewniania, albo przychodzi, jako przewidywany oddawna wynik osłabienia organizmu zdenerwowania wyczerpania. Wielkich starć, wynikających z przeciwstawności prądów umysłowych, czy społecznych, dotykał, Junosza bardzo rzadko, a i wówczas nie doprowadzał do druzgotania jednych przez drugie, lecz starał się rozpostrzeć tęczę przymierza między chwilowo tylko zwaśnionemi.

Humor ś. p. Klemensa składał się z kilku pierwiastków. Miał przedewszystkiem cechę staropolskiej jowjalności i zostawał w najbliższem pokrewieństwie z dowcipem Augusta Wilkońskiego, głośnego „chirurga filozofiji.“

Był tedy dobroduszny, chętnie do gromady ludzi ośmieszanych przyłączał samą osobę żartującą, ażeby tym sposobem zmniejszyć przykry smak pigułki. Powtóre, polegał on zazwyczaj nie na grze słów, coby stanowiło *koncept* (concetti) jedynie, ale na takiem złączeniu wyobrażeń i pojęć, że budzi ono uczucie śmieszności. „*Fałszywa kuropatwa*“ takim właśnie odznacza się dowcipem. Z dowcipem żartobliwym łączył się bardzo często odcień satyryczny, któremu przyznać należy trafność i siłę, zwłaszcza gdy mu odpowiadała sytuacja, uplastyczniając i pogłębiając jego znaczenie. W „Pająkach“ pełno znaleść można przykładów takiej prawdziwie udatnej satyry, a „Icek podwójny“. pomimo swojej szkicowości, pozostanie satyrycznem arcydziełem Junoszy.

Gdy dowcip żartobliwy i satyryczny złączy się z serdecznem uczuciem, a jest wspomagany przez mniej lub więcej lotną fantazję, która pozwala bez obrazy smaku przechodzić od jednego nastroju do drugiego, powstaje właściwy „humor“ w znaczeniu estetycznem. Ś. p. Junosza nie miał niewątpliwie tej siły, skupionego uczucia i tego bogactwa wyobraźni, co Sienkiewicz lub Prus: atoli miał jej dosyć, by nakreślić mniej głębokie, niż oni, ale zawsze, zajmujące postacie i stany duszy. Oddzielnych scen prawdziwie humorystycznych można odnaleźć w różnych nowellach i opowiadaniach Junoszy dosyć dużo, ale całkowitych utworów, mających zupełne i niezaprzeczone prawo do nazwy humorystycznych, w najlepszem i najwyższem estetycznie znaczeniu tego wyrazu, znam trzy, a są niemi; „Łaciarz,“ „Pan metr“ i „Wnuczek“. Głęboko ludzkie uczucia, piękność duszy, prostota pełna jakiejś prawie już nieziemskiej powagi mają naturalnie w wywołaniu wzruszeń, jakie budzą wymienione nowelle, udział największy, lecz i sposób przedstawienia, w którem autor uniknął bardzo szczęśliwie szkopułów niepożądanego w danym razie komizmu z jednej, a patetyczności z drugiej strony, posiada też niemałe znaczenie, jak w ogóle doskonała forma w dziełach sztuki.

Cechy zewnętrzne, odznaczające ludzi, wpadały przedewszystkiem pod rozwagę zmysłu obserwacyjnego u Junoszy, najtrwalej się w pamięci jego przechowywały, najdobitniej odradzały w wyobraźni i przemieniały na kształty artystyczne. Stąd też osobistości, u których cechy te są najwydatniejsze, należą do najdoskonalszych kreacji naszego autora. Więc najprzód żydzi, zwłaszcza wiejscy i małomiasteczkowi, chodzący jeszcze w chałatach, lub też częściowo jedynie „ucywilizowani“. W utworach swoich Junosza wyjątkowo tylko obchodził się bez skreślenia żyda. Narysował ich takie mnóstwo, jak żaden inny nasz powieściopisarz, a zawsze w każdej figurze dał jakiś odcień w poprzednich nieuwydatniony. Gdy się ten tłum w książkach Junoszy rozważa, większość wydaje się niby jedna zbita masa, lecz pozornie tylko; jeśli się każdej jednostce w tym tłumie bliżej przyjrzymy. nie trudno będzie się przekonać, że choć drobnym rysikiem różnią się one przecież od siebie, a każda jest istotą naprawdę żywą, każda i treścią i formą przejawów odpowiada prawdzie, rzeczywistości. Nie był Junosza antysemitą; bacznie wpatrując się w sposób postępowania żydów, wyróżnił wśród nich dobrych, zacnych, rozumnych, biednych a uczciwych, wesołych i żartobliwych, talmudzistów zabobonnych, wyzyskiwaczy wreszcie i lichwiarzy, oplątujących swe ofiary, jak pająki i wysysających zdrowie i mienie.

Na drugim szczeblu skali estetycznej w obrazach Junoszy postawić należy wszelkiego rodzaju oryginałów, to jest ludzi, jaskrawo odbijających jakiemiś cechami zewnętrznemi od swego szarego otoczenia. W psychologję ich Junosza nie zapuszczał się głęboko, brał ich

już jako istoty skończone, które przemianom wewnętrznym ulegać już nie mogą; całem jego tedy staraniem było utrzymać ich charakter konsekwentnie w ciągu opowiadania.

Na trzeciem miejscu w owej skali estetycznej postawiłbym sylwetki chłopów, ekonomów, pokątnych doradców, służby kościelnej na wsi, stróżów, straganiarek, mieszczuchów wszelkiego rodzaju, a szczególniej bawiących się w obywateli wiejskich, wreszcie drobną szlachtę, której Junosza poświęcił jednę z najlepszych powieści swoich p. t. „Panowie bracia“. Kategorja ta ma duże podobieństwo z drugą, powyżej wspomnianą: i w niej bowiem pewne wydatne cechy zewnętrzne (ubiór, giesta, mowa), pewne typowe sposoby myślenia i wyrażenia uczuć stoją na pierwszym planie.

Jako środka artystycznego używał Junosza najczęściej i najchętniej rozmów, w zbyt długie opisy i opowiadania nie bawiąc się prawie wcale. Są niektóre nowelle jego złożone z samych rozmów; są nawet dłuższe opowiadania, gdzie żywioł djalogowy bierze górę nad wszelkimi innymi np. „Pan Sędzia“, a w każdym utworze zajmuje on miejsce wybitne. Ta właściwość pisarska doskonale się nadawała do feljetonowego sposobu ogłaszania powieści; każdy bowiem odcinek, przy umiejętnym podziale mógł zawierać zaokrągloną w sobie scenę lub scenkę. Ale na układ całości wpływała właściwość ta ujemnie, gdyż autor, zajęty scenami poszczególnemi, tracił poczucie artystycznego ustosunkowania w planie ogólnym.

Jeżeli jednak pomimo niepomyślnych warunków pracy ś. p. Klemens Junosza pozostawił po sobie nietylko wielką ilość opowiadań, ożywionych najszlachetniejszemi uczuciami, ale potrafił nadto stworzyć takie powieści, których zalety w całości przyznać należy, jak „Panowie bracia“ i „Syzyf“, zwłaszcza zaś takie przepiękne nowelle, tryskające dowcipem, jak „Fałszywa Kuropatwa“, takie szkice satyryczne, jak: „Icek podwójny“, takie prawdziwe „humoreski“, jak „Łaciarz“, „Pan metr“, „Wnuczek“, — to winniśmy te rozkosze estetyczne przyrodzonemu talentowi, któremu dopomagała niezmożona siła charakteru, kierowana silnem, szczerem, nigdy o popis nie dbającem poczuciem obowiązku. *Piotr Chmielowski.*

„Kurjer Codzienny“.

Z monologów Klemensa Junoszy.

Praktyczne lekcje anatomji.

(Opowiadanie pana Grünfischa.)

Nie potrzebuję państwu opowiadać, że nie jestem bynajmniej uczonym doktorem. Uniwersytet znam tylko z widzenia, a do tego miejsca, do tej sali, w której prują nieboszczyków i patrzą, co w nich we środku jest, nie wszedłbym za żadne we świecie skarby.

Jestem maleńki finansista, i to bardziej komisowy, pośredniczący w interesach, aniżeli prawdziwy. Trochę pieniędzy mam, ma się rozumieć—bo dlaczego nie mam mieć?... Raz na parę lat potrafię wyjechać na kurację, za granicę; a kiedy wydawałem za mąż moją najstarszą córeczkę, pannę Reginę, to położyłem na stół całe dwa tysiące rubli — a przecież to jest ładny kawałek pieniędzy!..

Czy ja mogłem kiedy przypuścić, że będę znał wyższe doktorskie nauki... taką naprzykład anatomję?!

Ja pracowałem spokojnie przez całe życie... Naprzód cokolwiek uczyłem się w che... to jest w takiej niższej szkółce handlowej; potem byłem dla praktyki w kantorze, zanim samodzielnie zacząłem pracować w kleju...

To nie jest zły interes, tylko, że inne łajdaki zrobili już dużą konkurencję.

Ja byłem chłopak młody, elegancki, ja lubiłem chodzić w cylinder, mieć na oku kawałek szkiełka, w ręku ładną laseczkę... ja nawet trochę hulałem. Co państwo chcecie, człowiek młody... miałem przyjaciół...

Nieraz, jak przyszliśmy we trzech, to nas było pełne całe Eldorado! Ach, to jest, jak Włoch lubi powiadać: „tępe passate,“ ale naprawdę to było „ostre passate,“ — nieraz pukał szampan — a piwo to płynęło, jak rzeka...

Pamiętam, była panna Esmeralda, Hiszpanka... znałem ją od małego dziecka, bo jej ojciec miał na Czarnej ulicy sklepik... to jest... co ja powiadam? Widocznie pamięć mi nie służy... ona była hiszpańska Hiszpanka z samego Wiednia, szansęnistka pierwszej próby... Nieraz jadałem z nią kolację.

Przy tem ja się nauczyłem z anatomji, że w kotlecie cielęcym jest kostka, a w kurczętach nadzienie.

Ja pozwalałem sobie jeść w restauracji — to trudno — od wczesnej młodości miałem cokolwiek libertyńskie liberalności w głowie i do dziś dnia zawsze chodzę nietylko z laską, ale i z postępem. Ja też mam cokolwiek wykształcenia; a chociaż długi czas pracowałem tylko w kleju, jednak trafiało mi się czytywać książki, a co do gazet — to nie przepuściłem ani jednego ogłoszenia o licytacji... Wszystkiem czytał...

Ta szansonistka Esmeralda kosztowała mnie trochę pieniędzy — ale na co ja to państwu opowiadam? Było, stało się, przepadło, czas przeszedł...

Ja miałem wujaszka... Pewnie go państwo znali — taki był pan w angielskim surducie, z piękną brodą, aksamitną czapkę zawsze nosił — więc jak on dowiedział się, że ja cokolwiek pieniądze puszczam, to on mnie zawołał i powiedział:

— Ty łaj... to jest on powiedział: ty ładny chłopaczku... czas już, żebyś nie był oszoł... to jest, oszołomiony tą jakąś pask... to jest panienką, i żebyś się ustatkował. Ja tobie nie dam więcej chodzić do Eldorado, ani do „Chateau des fleurs," ty potrzebujesz cokolwiek się ożenić i być człowiekiem; bo jeżeli nie, to zejdziesz na ostatniego łapserdaka.

On ostrą mowę miał ten wujaszek, ale był człowiek porządny; on mi wyszukał ładną panienkę, z bardzo godnej familji, z kawałkiem posagu; on mi dał posadę w innym kantorze i on mnie później wprowadził w klej...

Taki stolarski klej, bardzo dobry towar... Ja się ożeniłem, Esmeralda pojechała śpiewać do Katowic.

No?! co ja wtenczas mogłem znać anatomji? Chyba tyle, że... w rublu jest sto kopiejek, albo, że w rachunku może się znajdować feler. Czy ja miałem czas myśleć nad tem, jakie w człowieku znajdują się części. Co mi do tego! — Wolałem wiedzieć, jaki człowiek ma kredyt i ile kleju można mu dać na rachunek. To była cała moja anatomja...

Zrobiłem się człowiek poważny, solidny, zacząłem brać różne interesa komisowe, przybyło mi kilkoro dzieci, zacząłem wyglądać dobrze, coraz lepiej. Nie potrzebuję się chwalić, ale w jednokonnej dorożce mnie było bardzo ciasno, a w parokonnej nie czułem za nadto obszerności...

Byłem bardzo śliczny mężczyzna — moja żona nie mogła się nacieszyć, że ma tak grubego i wspaniałego męża... Jej też nie brakowało kształtów... W Krasińskim ogrodzie, jakeśmy szli, ludzie oglądali się za nami.

Krótkie gadanie! Inne kobiety, nawet znaczne, firmowe damy, aż zieleniały z zazdrości, widząc, że moja żona ma takiego pięknego męża!... Nie potrzebuję się chwalić... ale każdy człowiek ma jedną brodę — ja miałem trzy!

Tylko w tym czasie zacząłem miewać krótki oddech i kłucie w boku. Ma się rozumieć, poszedłem do doktora.

— Co jest? Niech pan doktor powie, co jest?...

Oj! on mnie gniótł, on mnie pukał, on słuchał uchem, co we mnie skrzypi... i jak wysłuchał, wypukał, to się pyta:

— Panie Grinfisch, czy pan masz pojęcie o anatomji?

— Panie doktorze, ja pracuję w kleju...

— Może dlatego pan jesteś bardzo rozklejony...

Ja krzyknąłem...

On mówi (bardzo porządny doktor):

— Nie potrzebujesz pan krzyczeć, panie Grinfisch, tylko odbyć kurację. Ja panu wytłómaczę anatomję.

On mi tłómaczył całą kanalizację, jaka w człowieku siedzi; on mnie nauczył, że wątroba to jest filtr, że ja mam tego filtra o jakie trzy funty za dużo, i że ten filtr jest zapichnięty i nie może dobrze filtrować, że przez to krew nieporządnie chodzi w swoich wodociągach, że całe wentylacje w moich płucach jest przez to felerowate, że ja jestem jedna fabryka tłuszczu, i że niema się co dziwić, że ja, wszedłszy na trzecie piętro, bardzo ciężko dycham... Przecież jestem ociężała fabryka. . .

Ja mówię do niego:

— Pan doktor mnie straszy!

— Nie bój się pan; ja pana informuję, żebyś pan wiedział, że trzeba się kurować.

Oh! ja odszedłem od niego z pełną głową anatomji — i od tej pory rozpoczęły się moje lekcje!

Chwalić Boga, ten doktor, ach, doskonały doktor! dał mi różne medycyny i kazał mi pojechać do Karlsbadu... Ja pojechałem — mnie pomogło.

Moja figura zeszczuplała, moje trzy brody zmniejszyły się o 50%, moja garderoba musiała być zwężona o. . . 10%, a moja gotówka zwęziła się po tym kochanym Karlsbadzie do $8\frac{1}{2}$%... Proszę państwa, jaki klej może to wytrzymać?... ale przynajmniej nauczyłem się trochę anatomji.

Śliczna nauka! przynajmniej człowiek ma ten zysk, że jak go pika tu *(pokazuje na serce)*, to wie, że jest do czynienia z sercem; jak tu *(prawy bok)*, to kochana wątróbka; jak tu ciężko, to wentylacja płucowa.

To już się idzie prosto do takich doktorów, którzy od tych chorób są. Ja już nie pytam doktora, co mi jest, — tylko mówię jemu: „Proszę mnie leczyć na lewe strone płuca od frontu, albo od pleców..." Bo trzeba wiedzieć, że płuco to jest taki interes, co ma dwa fronty.,.

Doktor pyta:

— Panie Grinfisch, skąd pan tak znasz anatomję?

— Znam... i jaką anatomję ja znam: pajtologiczną! To nawet nie każdy doktór potrafi. Oni znają więcej tę ordynaryjną anatomję!

Proszę państwa, ja nie mogę się pochwalić, żebym był zanadto zdrów, nie powiem też żebym ciągle chorował: tak sobie mam — średnie zdrowie; raz na dwa lata jeżdżę na kurację za granicę, ale anatomji to ja się ciągle uczę. Mnie zaboli oko — ja idę do okulisty, on mnie da lekarstwo i musi mnie nauczyć, co jest w człowieka oku; mnie zaboli gardło, to się dowiaduję, co to jest za interes gardlany... i ciągle tak.

Ja mam wielką zdatność do takiej nauki i czuję się bezpieczniejszy przez to, że wiem, co mi dolega.

Ja mam takich przyjaciół, którzy śmieją się ze mnie, że ja sam sobie tworzę różne choroby; ale oni głupi są — ja wiem, co ja robię...

Ja lubię kontrolę — a jeżeli nie dam bez kontroli paczki kleju, to jak mogę dać doktorowi bez kontroli całą moją osobę? Pan Grinfisch nie jest głupi... bardzo dobrze wie, co robi.

Ja wciąż biorę moje lekcje anatomji... ja z czasem będę umiał więcej, niż sam najlepszy profesor.

A wiecie państwo, gdzie ja teraz jestem w mojej anatomji?...

Daleko jestem... bardzo daleko...

Czuję, to jest czułem pewne szczypienie w nodze.

Przyznam się, że nie wiedziałem, jaka to może być anatomja koło kolana. Powiedział mi jeden doktór, że to jest interes nerwowy... Ładny geszeft!

(Po chwili).

Aj! *(chwyta się za ramię).* Niech go licho weźmie! Ten interes nerwowy potrzebuje mieć filję w ramieniu? Nie wiedziałem... Ja taki znawca na całą pajtologię...

(Po pauzie).

A któż mi zaręczy, czy tam nie jest całkiem niezależny geszeft, czy to nie jaka nowa awantura kościana, muskułowa albo skórzana? Czy ja wiem?

Nie, przepraszam państwa, ale ja idę do doktora; ja się wolę spytać, naradzić się z nim... Choć ja jestem duży znawca, ale co dwie głowy, to nie jedna. Przytem .. ja się trochę boję... Na ten ból w ramieniu nie zdarzyło mi się jeszcze chorować...



Z pobytu Władysława Żeleńskiego w Pradze.

WSPOMNIENJE Z R. 1860 — I.

skreślił

Łukasz Wielkopolanin.

(Ciąg dalszy.)

Prawie dwa miesiące mieszkałem razem z Władysławem Żeleńskim w jednym pokoju, mogłem go zatem poznać dokładnie. Już wtedy można było wymiarkować, że wyjdzie na tuza. W pierwszych chwilach zaznajomienia się z kimś, albo gdy znajdywał się wśród obcych lub obojętnych mu osób, zachowywał zawsze pewną sztywność i chłód w postępowaniu, co nie było bynajmniej wynikiem jakiejś dumy czy zarozumiałości, lecz raczej zamaskowaniem nieśmiałości z lat chłopięcych mu pozostałej. Za to w gronie dobrych znajomych ożywiał się odrazu, topniał, był wylany lubił żarty i dowcip, a nawet płatał figle nieraz szalone. W obcowaniu towarzyskiem z kobietami ta nieśmiałość potęgowała się i przeobrażała we formalną niekiedy paniką. Wchodziły tu bowiem już i zasady, które sobie wyrobił o stosunku pomiędzy kobietą a mężczyzną. — Bjoernstjerne Bjoerson, współzawodnik Jbsena, w jednym z ostatnich dramatów pod tytułem: „Rękawiczka" przepysznie przeprowadza ideją równouprawnienia kobiety w stosunkach płciowych a szczególnie w małżeństwie. Jego bohaterka, Swawa, mimo gorącej miłości, mimo obawy przed opinją publiczną, wbrew presji rodziców i straty materjalnych korzyści zrywa stanowczo z narzeczonym tuż przed ślubem dla tego, ponieważ przekonała się, że nim ją poznał, kochał się już w innych i bawił się miłostkami z wieloma; ona zaś, będąc dziewicą nietylko cieleśnie, ale i w sercu i w myślach swych, żądała od niego takiej samej stawki na wstępie do loterji małżeńskiej. Otóż Żeleński już przed 38 laty wyrobił sobie przekonanie i niem kierował się w życiu, że mężczyzna, który pragnie pokochać kobietę, coby mu była później godną towarzyszką żywota, winien do niej przystąpić nieskalany. W tem tkwi rozwiązanie zagadki, dla czego w stosunkach z kobietami tak był trwożliwy i nad wyraz oględny. Nie chciał, aby go posądzano czasem o jakie żądze wszeteczne, a strzegł się, żeby przypadkiem nie ulec krewkości temperamentu i figlarce fantazji, która w duszy jego panowała despotycznie. Jak dalece był wiernym swem zasadom, a przytem wstydliwy, niech świadczy następujący wypadek. Tuż obok Sirkowej ulicy znajdowała się masarnia, do której częstośmy zachodzili, zwłaszcza kiedy przy końcu miesiąca kasa pułkowa świeciła pustkami. Zastrzec się tu muszę przeciw posądzeniu nas o marnotrawstwo gorsza i pohulanki. Przeciwnie żyliśmy bardzo statecznie, choć wesoło, ale staraliśmy się zawsze i wszędzie wysoko trzymać sztandar godności polskiej i nie dawać nawet pozoru do obmowy naszem postępowaniem. Jeżli nie wystarczyło czasami pieniędzy do końca miesiąca, winą tego były rozliczne składki i zapomogi, któremi rozporządzał szczodrze serdeczny Lewicki. Otóż ta masarnia należała do pewnego małżeństwa czeskiego. On olbrzym dobroduszny, flegmatyczny, małomówny i trochę tępego umysłu, — ona kobiecina malusia, ale zażywna, miła, fertyczna, gadatliwa, sprytna i trochę kokietka, słowem une femme de trente ans Balzaka. Za sklepem znajdował się pokój dla gości z oknami, wychodzącemi na podwórze. Było to przy końcu marca, dzień był pogodny i tak ciepły, żeśmy aż okna pootwierali, aby zaczerpnąć świeżego

powietrza. Podjadłszy sobie rozmaitej świniny zabawialiśmy się wesołą pogawędką, do której wtrącała raz po raz jakie słówko dowcipne obsługująca nas gosposia, a której przysłuchiwał się z uśmiechem w sklepie potężnego kufla piwa pilnujący gospodarz. Żeleński jak zwykle, gdy nas była gromada, a rozmowa się przedłużała, chodził naokoło stołu zatopiony w sobie. To mruknie, to gwiźnie, to huknie, to piśnie, to ręką machnie, jakby smyczkiem wodził, to notyskę wyrwie z kieszeni i szybko zapisuje ją nutami, słowem komponuje. Do tego myśmy przyzwyczajeni byli, a radzi, że znów usłyszymy nową melodją, podłożoną do którychś ulubionych wierszy naszych poetów, więc nie przeszkadzaliśmy mu wcale w tej pasji tworzenia. Wreszcie skończył, a my poczęliśmy się zbierać ku wyjściu. Wtedy przechodzącego koło mnie Władka pochwyciłem oburącz i posadziłem sobie na kolana, a trzymając go mocno, zawołałem na masarkę: „Mamo; tak ją bowiem ochrzciliśmy — „chodź i pocałuj kapelmistrza, bo nam znów coś pięknego skomponował.“ Mama na to, jak na lato. Już wyciąga ramiona, już się słania ku niemu, gdy on nagle wyrywa mi się z rąk i — buch! pod stół. My w śmiech, mama za nim. Widząc się w takich opałach, kapelmistrz jednym susem przesadza okno, wyskakuje na podwórze i bezprzytomny ucieka ulicą do domu. Gdyśmy za nim podążyli, znaleźliśmy go w stancji, rozbijącego w strasznym gniewie, co mu w rękę wpadło. Nas zwymyślał okropnie, lecz widząc mnie, głównego winowajcę, w pokornej postawie i niby to w skrusze łzy obcierającego aż ręcznikiem, rzucił mi się na szyję, mówiąc: „Jak mogłeś coś podobnego uczynić? czyż nie wiesz, że ust mych dotknie się tylko moja narzeczona!“

Już wtedy Żeleński prócz różnych pieśni i piosenek skomponował uwerturę do Wallenroda. Nawet w nocy muzyka go w snach nawiedzała. Bywało, śpię sobie smacznie, gdy naraz budzi mnie huk straszliwy. Zrywam się z pościeli, wytrzeszczam oczy, a tu mi kapelmistrz w najgrubszym negliżu siedzi przy fortepjanie i gra z takiem zacięciem, że aż struny ledwie nie popękają, a jęczą, a wzdychają, a kwilą, a świszczą, a śmieją się, a szczebiocą, a szepcą; mistrz zaś najpocieszniejsze przybiera pozy i wyprawia grymasy, że aż ciarki po człeku przechodzą; to wypręża się, to gnie całem ciałem, pracuje wszystkiemi członkami, w oczach płoną blaski natchnienia, wreszcie odpadają od klawiszów ręce zmęczone, wybraniec muz zataczając się w omdleniu pada na łóżko.

Daleko lepiej, niż moje opowiadanie, charakteryzują Żeleńskiego własne listy, z których kilka przytaczam. Jeden otrzymałem w 3 miesiące po moim wyjeździe z Pragi w odpowiedzi na jakiś z swej strony docinek co do arystokracji. Mieści się tam dużo humoru, lecz na dnie płuży zewsze poważne zapatrywanie się na życie i rozmiłowanie w muzyce.—

Praga czeska dnia 26/6, 61 roku.

„P a r o l e d' h o n n e u r, odebrałem od Ciebie list w tym tygodniu, który bardzo mi był miłym i robił mi bardzo d o b r z e, croyez-moi. Uczucia miłości napawają Twój list tak miłą wonią, iż nie tylko oczyma, ale i nosem pożerałem wyrazy słodkobrzmiące. Quel charme d'aimer et d'être aimé! Ta miłość jest bardzo potrzebna, wznosi człowieka w sfery wyższe sentymentów arystokratycznych p o u r a i n s i d i r e. Jednak pomimo tego j e s u i s a u s s i d e m o c r a t e, mianowicie, iż lubię, a nawet wolę w każdym razie listy frankowane, w tym razie więc idę za dążeniem wielu i jestem bardzo liberalni myślącym. F i g u r e z - v o u s, m o n m c h e r L u c, jak mi to nie wsmak poszło wydobyć 20 centów przy ciężkich czasach d o n t n o u s s o u f f r o n s przy każdym końcu miesiąca. Wówczas zwykłem spuszczać się z tonów pańskich, których w salonach nabyłem (według zdania twych najukochańszych przyjaciół, opłakających ciągle Twój wyjazd z Pragi) i wracam ku temu, c o n a s z e. Bardzoby mi na rękę było znaleźć teraz dowody w jakich kronikach Marcina Galla, Kromera, Bielskiego i i. iż w dawnej Polsce piszący opłacali listy, a nie odbierający; w tym razie nie byłoby od rzeczy spytać się naszego profesora, tenby może znalazł dość argumentów, służących za punkt oparcia do twierdzenia, by się tego zwyczaju trzymać, „bo to rodzime, bo to nasze“.... A teraz zmieniam mój ton na nieco poważniejszy. Nie wiem, co Cię nastroiło do takiego tonu rozpaczy i wściekłości na ród niewieści, że mi każesz utopić sztylet w serce kochanki; to coś na Gustawa patrzy z IV. części „Dziadów“. Ręczę, iż kreśląc wyrazy do mnie, miałeś słowa na myśli:

„*Kobieto, puchu marny! ty wietrzna istoto,*
Postaci twojej zazdroszczą anieli i t. d.“

Ja jednak w tych razach nie jestem desperatem. Kocham, póki widzę mój przedmiot godnym kochania i mnie równie przychylnym. Jeśliby jakimkolwiek sposobem utracił wewnętrzną wartość w mych oczach, miłość moja stygnie wtenczas; prawda, serce jakiś ból głęboki czuje, ale powoli wyleczy się, zwracając się ku czemuś wyższemu, miłości do kraju i (odnośnie do mnie) dla sztuki. Ta ostatnia mianowicie spodlić niczem się nie może sama przez się, kto ją kala, znać, że jej nie kocha, jeno dla czczej sławy i pieniędzy. Tej kochanki nikt mi wydrzeć nie potrafi, ona wzrosła ze mną i na moim grobie kiedyś zakwitnie, niezwiędła dla narodu Polskiego. Może ona jedna kiedyś mi wierna zapłacze nad grobem moim. Miłość moja zaś dla kobiety jest zupełnie spokojną, jeśli

mnie będzie miała poprowadzić do rzeczywistości; znajdzie się chwila stosowna, w której nasze dusze zrozumieją się, teraz jeszcze nie przestanę czekać cierpliwie, niemym być obserwatorem, tylko jedna muzyka będzie pośrednikiem, wyrywającym uczucia serca mego na jaw. Teraz żegnaj mi, drogi Łukaszu, pamiętaj o kapelmistrzu. *W. Ż.*

$^{30}/_{6}$. Daruj spóźnienie, czekałem na list pułkownika (Lewickiego), który nie może się wykocić, będąc zajętym deputowanymi, którzy zjechali na pogrzeb Szafarzyka. Lata po całej Pradze, zawsze czuły, grzeczny, śmiejący się i w najlepszych barwach malujący sobie Czechów. *W. Ż.*

* * *

Dwa następne listy otrzymałem w Berlinie, pierwszy z Pragi, drugi z Grodkowic, wsi rodzinnej, w której Żeleński wakacje przepędzał.

„17. 2. 62. Kochany Łukaszu! W chwili największych złorzeczeń przeciwko Tobie, iż zapomniałeś kompletnie o kapelmistrzu, kochającym Cię zawsze całą duszą, nadszedł Twój list, godzący z Tobą zwaśniony mój umysł. Słowa tęsknoty za Pragą i za nami rodakami radością napawały mi serce; wierzaj mi, drogi Łukaszu, iż to już nie ta Praga, co z. r., polonja owa poczciwa rozjechała się, Ciebie przedewszystkiem brak się dać czuje, z nas weteranów ja i zacny Skomorosz. Stew... zupełnie już nie rachuję, gdyż na złej drodze się znajduje: długów pełno narobił... Czyż to nie wstyd dla polskiego stroju, którego nie zrzuca, tylko jeszcze uwydatnić chce nim swą niegodną postać. Proszę Cię, drogi Łukaszu, napisz mu porządną admonicją, może to potrafi obudzić w nim uśpiony wstyd, szkodaby było tak dzielnego chłopca“. (Rzeczywiście odezwanie się moje wywołało zbawienny skutek. Stew... napisał mi list pełen żalu i skruchy, wszedł w siebie i poprawił, jak o tem sam Żeleński wspomina w liście następującym. W obozie Langiewicza pod Chrobrzą znalazłem Stew. jako kapitana artylerji, a po powstaniu spotkałem go w Szwajcarji, jako technika, zajętego w jednej z fabryk zapałek — przypisek Łuk.).

„Z nowo przybyłych—pisze dalej Żeleński — bawią tu Żulińscy z Warszawy, porządne bardzo chłopcy, znający dobrze stanowisko Polaka, jakie zająć winien za granicą... Pot... fujara jakich mało! Dla tego iż matka trochę zachorowała na wakacjach, zdecydował się siedzieć cały rok w domu. Do czego takie próżniactwo doprowadzić może?

Dalszy ciąg nastąpi.

SOCJOLOGJA.

I.

Historja i metoda socjologji.

(Ciąg dalszy).

Najnowsze szkoły socjologiczne, jak wiadomo odstąpiły od Spencera. Pewna grupa, gromadząca się dokoła niestrudzonego Francuza Worms'a, zawsze jeszcze trzyma się jednostronnych bjologicznych poglądów, podczas gdy znaczna większość poważnych spółczesnych systematyków: Gustaw Le Bon, K. Letourneau, prof. Gumplowicz i inni zupełnie negują podobieństwo między budową tworów socjalnych i organizmów zwierzęcych, zastosowanie bjologji w socjologji uważają za „metaforę“ i pragną naukę o społeczeństwie oprzeć wyłącznie na antropologji, etnologji i prehistorji. Ale w pracach tych badaczy nie znajdujemy zresztą zgodnych poglądów chyba tylko na punkcie wstrętu do metody bjologicznej. Podczas gdy np. prof. Letourneau w swej „Sociologie d'aprés l'Ethnographie“ daje tylko rozwlekły przegląd niezliczonej masy drobiazgów i wyraźnie oświadcza, iż zamyśla ograniczyć się na „zbieraniu faktów, grupowaniu ich i postawieniu od czasu do czasu jakiego nieśmiałego uogólnienia, zastrzegając się z góry, iż nie jest ono stanowcze i podlegać jeszcze może późniejszej rewizji“, Gumplowicz znowu w swym „Zarysie socjologji“ całkowicie zamyka się w uogólnieniach, będących najczęściej nawet nie indukcyjnego, a wprost djalektycznego pochodzenia. Byłoby jednak błędem przypisywać wyłącznie metodzie powody, dla których na polu socjologji do dziś dnia tak trudno o wyniki niezbite. Przy obecnym stanie badań i przy wielkiej jeszcze niedojrzałości nauki o której mowa, należy wszelkie „systemy“, „zarysy“ i t. d. socjologji uważać za przedwczesne. Socjologja nie powinna wyrzekać się zdobycia praw, ale ich ustalenie muszą poprzedzić masowe spostrzeżenia tak samo, jak w dziedzinie naukowego poznania świata organicznego musiano zacząć od gruntowych i niezliczone razy sprawdzanych spostrzeżeń i opisów pojedyńczych zjawisk. I zaprawdę niepozbawionym komizmu jest ten współczesny stan badań socjologicznych, w którym z jednej strony wznosi się pretensjonalne systemy praw socjalnego rozwoju, a z drugiej brak jest wyjaśnienia częstokroć najważniejszych faktów życia społecznego. Połączonej mrówczej pracy setek etnologów, folklorystów, filologów i historyków nie udało się do dziś dnia odtworzyć prawdziwego biegu rozwoju ludzkiej rodziny, owego najważniejszego pierwiastka historji społecznej. Prawie żaden punkt z tej pozornie zupełnie pewnej historji owej instytucji nie jest

naukowo niezbity, a pojedyncze jej części są wprost jeszcze ciemne jak np. tak ważna dla rozwoju społecznego kwestja pokrewieństwa. Oto znowuż niedawno poważny uczony, prof. Mucke z Dorpatu, wystąpił z poglądami, które wywracają do góry nogami całą naszą dotychczasową historję rozwoju małżeństwa i niejako zniewalają nas do ponownej rewizji rezultatów dotychczasowych naszych badań. W historji rozwoju własności, tego drugiego pierwiastku niezmiernie w socjologji ważnego, również rozporządzamy tylko kilkoma trwożliwemi twierdzeniami wartości wielce problematycznej, aczkolwiek chodzi tu o jedną z najaktualniejszych kwestyj spółczesnych, której wyjaśnienie ma nietylko naukowy interes. Jeszcze gorzej stoją sprawy w innych dziedzinach historji społecznego rozwoju, gdzie przedewszystkiem brak materjału faktycznego, a nieliczne zdobycze należy jeszcze starannie przesiać i sprawdzić należycie.

W ostatnich czasach wiele gałęzi wiedzy usiłowało stanąć na gruncie socjologicznym i w ten sposób w rzeczy samej często z wielkiem powodzeniem opracowano rozmaite częściowe kwestje i całe nawet działy socjologji. Tak np. prawnicy Post, Dargun, Kohler i inni zbadali socjalno-historyczne zasady prawa; nauki przyrodnicze (antropologja, fizjologja, psychopatologja, eksperymentalna psychologja) zajmowały się takimi problematami, jak: dziedziczność, rasy, zbrodniczość, psychologiczne zjawiska w organizmie społecznym i t. p., których ścisłe rozstrzygnięcie stanowi jedną z niezbędnych wstępnych robót w naukowej socjologji (z masy nazwisk wymieniny tu niektóre tylko: Lombroso, Ferrero, Ribot, Haycraft, H. Ellis i inni). Espinas swem mistrzowskiem dziełem rzucił most między społeczeństwami zwierzęcemi i asocjacyami ludzkiemi i nawet filologowie (Max Müller, Schrader i inni) rzetelnie przyczynili się do zbudowania ścisłej nauki o społeczeństwie ludzkiem. Słowem, jak się zdaje, socjologja porzuciła na razie młodzieńcze marzenia, zdążające ku natychmiastowej budowie systemów i z rezygnacją, ale też równocześnie i ze zdwojoną siłą wieku męskiego zamknęła się w pracowni, aby tam w poważnych częściowych robotach — choćby dopiero na rzecz późniejszych pokoleń — stworzyć empiryczne podstawy socjologji.

(C. d. n.)

Nowe książki.

Prof. Dr. Józef Nusbaum. Wiadomości początkowe z biologji czyli nauki o istotach żyjących, przeznaczone dla uczącej się młodzieży; z 38 rysunkami w tekscie. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1898.

Pod takim tytułem pojawiło się przed kilku dniami na półkach księgarskich dziełko, obejmujące 145 str. druku, w formie małej $^1/_8$, dziełko zasługujące już przez to na szczególniejszą uwagę, że jest ono niejako pierwszem u nas w swoim rodzaju. Jak widzimy z napisu przeznaczył je autor dla uczącej się młodzi, uzupełniając w ten sposób chociaż w części brak, który oddawna uczuwać się dawał w naszej literaturze. Podręczniki bowiem szkolne do nauki zoologji i botaniki, podają uczniowi suchą systematykę, nie zaznajamiając go z najciekawszymi faktami w przyrodzie i pomijając milczeniem zdobycze naukowe, jakie poczyniła wiedza w przeciągu bieżącego stulecia w dziedzinie biologji; to też powyższa książka uwzględniając dwa ostatnie punkta stanowi ważne dopełnienie w tym kierunku.

Napisana z zwykłą autorowi lekkością, a co więcej ujętą w formę przystępną nietylko dla starszych, ale i dla młodszych uczniów, dotyka ona po kolei całego szeregu ważnych i zajmujących faktów biologicznych, popierając je licznymi illustracjami, a pomijając to, co ze względów pedagogicznych pominiętem być musiało. — Wychodząc od pytania: co to jest biologja? i omawiając po krótce różnicę między ciałami organicznymi i nieorganicznymi, przechodzi autor do ustrojów, a następnie nakreśliwszy ich życie, odżywianie się i rozmnażanie, przedstawia wzajemny stosunek świata zwierzęcego i roślinnego, przytaczając wiele ciekawych przykładów różnicy i podobieństwa. Wniosek, że między obydwu światami nieda się przeprowadzić ścisła, zasadnicza granica, że więc zwierzęta i rośliny wyszły od jakiejś ani na korzyść pierwszych ani na korzyść drugich niezróżnicowanej formy, zamyka niejako pierwszą część dziełka. — Część druga zapoznaje czytelnika z głównymi zasadami nauki o tkankach (histologji) i nauki rozwoju (embrjologji) trzecia wreszcie rozwija w bardzo zręczny i przystępny sposób teorję przemiany gatunków, omawia ciekawsze przykłady przystosowania i naśladownictwa (mimicry) i tłómaczy znaczenie tz.: spółki życiowej (symbiozy). W taki sposób zapoznaje się czytelnik z najgłówniejszymi faktami, wybranymi z rozległego naukowego materjału, faktami, godnymi poznania nietylko z tego względu, że podnoszą one poziom wykształcenia i uczą zastanawiać się i badać, ale i dlatego, że znajomość ich jest jakgdyby wskazówką która nas uczy na czem polega cała harmonja i piękność, i co należy podziwiać w przyrodzie.

Witold S.

Wiadomości bibljograficzne.

Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej w roku 1831.“ Napisany przez Ignacego Prądzyńskiego, generała kwatermistrza byłych wojsk polskich. Przekład z francuskiego. Wydanie drugie. Petersburg. Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego 1898.

Roman Plenkiewicz. Kształcenie młodzieży. (Nauczanie początkowe i średnie).“ Z przedmową Juljana Ochorowicza. („Biblioteka dzieł wyborowych“ tom 24-) Warszawa. 1898.

Drukiem K. Wiesnera w Lwowie.